

Z pretensjami list do Jubilata

W związku z 20-leciem Waszego poczytnego organu zmuszony jestem, poza serdecznymi życzeniami, przestać również kilka okolicznościowych pretensji:

1.

Ujawnianie publiczne 20 rocznicy niepotrzebnie przypomina stałym czytelnikom (tym od pierwszego numeru), że są o te dwa krzyżyki starsi. Ma to szczególnie nie miły wydźwięk, gdy w grę wchodzi czytelnicy pięć żeńskiej.

2.

Uporczywe trzymanie się przez kilkadziesiąt lat identycznie brzmiącego tytułu pisma jest dowodem słabości inwencji pracujących w nim dziennikarzy. A przecież nowe, ładnie brzmiące tytuły aż się proszą o wprowadzenie, że wymienię choćby kilka: „Głos Wielkopostny” — „Żarty znad Warty” — „Organ Drzymalitów” — „Jasne Łamy” — „Dzielną Biesiadą” itd.

3.

Jest rzeczą, w moim mniemaniu, niedopuszczalną przesadne reklamowanie pisma i chwalenie się jego nakładowymi sukcesami. Otóż w czasie ostatnich świąt gwiazdkowych, przechodząc kiedyś wieczorem jedną z ulic Poznania, usłyszałem dolatującą z otwartego okna pastorałkę, w której wyraźnie można było rozróżnić tekst: „Wśród nocnej ciszy GŁOS się rozchodzi”.

4.

Do dnia dzisiejszego, mimo upływu kilkunastu lat od tego wydania, kierownictwo pisma nie wyciągnęło konsekwencji służbowych wobec maszynistki, która przepisując jedną z moich recenzji filmowych (był u mnie taki etap!), dopuściła się samowolnej przeróbki tekstu. Zamiast zdania „Młodzi debiutanci wyszli z tej próby obronną ręką” w tekście znalazło się stwierdzenie: „Młodzi dyktanci wyszli z tej próby z ogromną ręką”.

5.

Jeden z moich znajomych, cierpiący na uporczywą bezsenność, przez jakiś czas walczył skutecznie z tą dolegliwością poprzez skrupulatną lekturę „Głosu” tuż po położeniu się do łóżka. W ostatnim czasie jednak środek ten zawodzi na całej linii. Kto wynagrodzi mojemu znajomemu straty moralne poniesione z tego tytułu, nie mówiąc już o kosztach związanych z przekroczeniem limitu kilowatogodzin wypalonego prądu?

6.

Być może popełniłem małą nieostrożność, dając w r. 1945 anonis do „Głosu” tej treści: „Sprzedam okazjnie szafę trzydrzwiową na wysoki połysk. Oglądać w godzinach wieczornych. Ulica... itd.”. Młodzi ludzie (on i ona) którzy przyszli oglądać mebel, długo nie mogli się zdecydować. Brak decyzji spowodował, że oglądają szafę do dziś, doczekawszy się w moim mieszkaniu kilku ślicznych córeczek.

7.

W dniu 18 listopada 1951 roku napisałem i osobiście oddałem do rąk sekretarza redakcji krótki 12-zurotkowy wiersz na temat racjonalnych metod spania wycieków bulwy późnojesiennej w gospodarstwach małohektarowych. Tymczasem kilkakrotnie doszło do zmiany sekretarza jak i samych metod spania wycieków. Mimo to utwór mój do dnia dzisiejszego nie został wydrukowany, co znacznie opóźniło moją karierę literacką.

Proszę o pozytywne i możliwe poważne ustosunkowanie się do powyższych pretensji.

Z jubileuszowym pozdrowieniem
JULIAN MIKOŁAJCZAK

Jest ich w gromadzie Dzierżąno około półtorej setki. Wiele z nich wtedy właśnie, przez Ziemię Czarnkowską i Trzcianecką, wiodły przed dwudziestu laty frontowe drogi — od Bydgoszczy na Jastrowie, Podgaje i dalej Wał Pomorski, Kołobrzeg. Radziska Stanisława Tracz i jej mąż Bronisław Myślicki, brał nawet udział w wyzwoleniu Czarnkowskiej i pobliskiej Cielicy. Mimo wojennej zawieruchy, ludzie spod Zbawia czy Drohobycza dostrzegali urok tych okolic. Łagodne, lesiste wzgórza przypominały im nieco rodzinne strony. Więc ten i ów przyrzekli sobie, że jeśli dojdzie szczęśliwie do Berlina i nadejdzie czas pożegnania z bronią, tu właśnie osiągną.

*

Najlepiej zapamiętałem Mikołaja Pitę — sołtysa z Dzierżąna Wielkiego. Nie tylko dlatego, że wyróżniał się spośród innych okazałą posturą (jego towarzyszy z I Armii, przewodniczący GRN — Jan Pomarański wyglądał przy nim jak chłopczek). Ważniejsze są rysy sołtysowej twarzy, wyrzeźbionej w głębokie bruzdy przez lata żołnierskiej tułaczki. Pita zapewne rozpoznałby siebie na historycznym zdjęciu, uwieczniającym akt przysięgi, składaną w obozie nad Oką. Żołnierz tego co on wzrosto, musiał stać przecież gdzieś w przednich szeregach...

Oboz szkoleniowo-werbunkowy w Sielcach nie był dla niego początkiem żołnierskiej doli. Raczej początkiem drogi powrotnej do kraju, który opuścił w roku 1939, w 3 dni po swoim ślubie. Gdy przybył nad Okę miał już za sobą front fiński, gdzie w mundurze radzieckiego zwiadowcy wymykał się śmierci na tyłach wroga. Tam też stracił oko. Potem było oblężenie Leningradu i przedzieranie się przez zamarznnięte Jezioro Ładoga, daleka Wołgda i jeszcze dalsza tajga syberyjska. Dopiero latem 1943 roku zaświtała mu nadzieja na przywdzianie polskiego munduru. — Tylko czy zechcą przyjąć bezokiego inwalidę? — myślał wówczas z niepokojem. Strzelcem wyborowym być nie mógł, ale na przykład artylerzystą?...

Formująca się Dywizja Kościuszkowska potrzebowała jednak ludzi obeznanych z wojennym rzemiosłem. Więc i kryteria naboru nie były zbyt wygórowane. Lekarz spojrział tylko na rosłego mężczyznę, klepnął go mocno w ramię i powiedział krótko: zostaniecie kanonierem.

Pierwsze pociski na wroga wyrzulił Pita pod Lenino, a ostatnie

— w Berlinie, z piętego piętra jakiegos domu.

W Dzierżąnie zaczynał dosłownie z niczego, jeśli pominąć jedną ocalałą kure. Nie on zresztą jeden. Po berlińskiej victorii, jednych — jak na przykład Jana Pomarańskiego — oczekiwały jeszcze płonące Bieszczady; inni — jak Stanisława Myślicka z Gieczynka — leczyli w szpitalach odniesione rany. Nie byli więc frontowcy pierwszymi lokatorami zajmowanych obecnie domostw. Zastali je już splądrowane, ogołocone ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość użytkową i gospodarczą.

Pita zamieszkał w najstarszym chyba domu w całej okolicy. Budynek był drewniany, pokryty strzechą, z małymi okienkami tuż nad ziemią. Uważał go podobno za obiekt zabytkowy i w skrytości ducha marzył, że pewnego dnia zjawi się konserwator i przejmie budynek pod opiekę państwa. Ale zamiast tego, pewnej nocy kłobuz podłożył ogień pod opuszczoną są-

Feliks Biłos

WETERANI

Echa frontowych dróg

siednią rudę, od której zajął się również Pitowy „zabytek”.

W tamtych czasach wszystko jeszcze było płynne. Ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali. Ktoś wyszukał sobie lepsze miejsce, inny odnalazł rodzinę, więc i dom pusty się znalazł. Czarna kura złotych jajek wprawdzie nie znosiła, ale z tych, co dawała, legły się kurczęta. W stajni pojawiła się zakupiona jałowka, a frontowy przyjaciel z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego ułatwił przydział unrowskiego konika. I tak, krok za krokiem, dorabiał się dobytku. Dzisiaj w jego zagrodzie stoją dwa dorodne konie 3 krowy, 3 jałowki, 2 maciory, 7 tuczników.

— Inwentarz wcale pokaźny, jak na 9 hektarów; tylko czy potrzebna para koni? — pytam.

— Oczywiście, to luksus, ale jeden z nich to ten zakupiony w 1947 roku. Nie sprzedalbym go dziś za żadną cenę. To też weteran, któremu należy się szacunek. Napracował się wspólnie z nami, niech więc u nas dokona swego żywota. Zresztą jest jeszcze w pełni sił i wygląda jak dobrze odchowany młodzik.

*

Gospodarowanie na nowej ziemi nie szło z początku najlepiej. Lu-

dzie przyzwyczajeni do urodzajnych lessów Podola z trudem radzili sobie na ubogich piaszkach. Przy braku inwentarza żywego nie było czym nawozić ziemi, więc i urodzaj był lichy. Dopiero ostatnie lata przyniosły wyraźną poprawę. Łąki, z którymi dawniej nie bardzo wiedziano co robić, stanowią dziś podstawę rozwijającej się hodowli. Są więc oczkiem w głowie spółki wodnej i kółka rolniczego.

Po okresie stagnacji lat pięćdziesiątych, która dawała o sobie znać chylącymi się płotami, dziurami w dachach, i odrapanymi ścianami domów, teraz gromada jakby nabrała drugiego oddechu. Świadczy o tym panujący wszędzie ład, porządek, a także kilkanaście anten telewizyjnych na dachach. Do uporządkowania wsi przyczynili się konkursy higienizacji — „Głosu Wielkopolskiego” sprzed dwóch lat i niedawny, ogłoszony przez Telewizję Poznańską. W tym ostatnim wieś Dzierżąno Małe zajęła pierwsze miejsce w powiecie. Drogi, chodniki, ogrody, plac zabaw dla dzieci — wszystko to zrobiono no wspólnym wysiłkiem mieszkańców. Oczywiście, jak w każdym innym przedsięwzięciu, przykładał się „bojownicy”.

Gromada mierzy obecnie wysoko. Posiada już połączenie autobusowe, buduje się okazały pawilon sklepowy, w planie nowa szkoła, bo dotychczasowa nie może pomieścić wojennego „wyżu”. Przewodniczący Pomarański marzy o tym, by stworzyć tu warunki wczasowo-wypoczynkowe. Jest przecież piękne jezioro z piaszczystą plażą i wokół lasy pełne grzybów i jagód. O lepszym miejscu wypoczynku trudno wprost marzyć.

*

Przez 20 lat zbierał się w okolicy spory zasób anegdot. Są wśród nich wspomnienia, o których chętnie się mówi i takie, których nie przekazuje się obcom. Ale gdy nadarzy się okazja, jak ta w listopadzie ubiegłego roku — odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci poległych na tym terenie żołnierzy — wspominkom nie było końca. Lecz ważniejszy od frontowych wspomnień jest dla tych ludzi dzień dzisiejszy. Uważają bowiem, że poważne, sumienne traktowanie swoich obowiązków rolnika i obywatela, dobry przykład dla innych, dodaje tamtym bojomu czynom dodatkowego blasku.

Edward Balcerzan

Wojna na inną modłę

Przemysław Bystrzycki w swej nowej powieści pt. „Wronie uroczysko” (*), chce przedstawić wojnę jako przygodę. Przyjmuje model prozy przygodowej. Zasada działania tego modelu jest umowna, często sprzeczna z „życiowym” prawdopodobieństwem, funkcjonalność elementów fabuły. Autor wszakże tak konstruuje bieg zdarzeń, aby zachować pozorów owego modelu, burząc jego konwencjonalność. Zespala poetkę powieści sienkiewiczowskiej, na którą w pewnym miejscu się powołuje (s. 74), której ślady nosi styl dialogów i opisy tortur, z poetką — tak dziś popularnego — zbeletyzowanego dokumentu.

Oto bohater „Wroniego uroczyska”, Antek Cwikła, jest świadkiem śmierci swej matki, zamordowanej przez untersturmführera Zwikau. Poprząsł ją zemstą. Zgodnie z modelem prozy przygodowej pod koniec utworu powinien nastąpić krwawy pojedynek między Dobrem i Złem, między szlachetnym Antkiem i nikczemnym Zwikau. Tymczasem do bezpośredniego starcia między nimi nie dochodzi. Sprawiedliwość wymierza historia: Antek rozpoznaje swego wroga w kolumnie jeńców niemieckich. W innym miejscu Antek w więzieniu zdobywa pilniki. Schemat prozy przygodowej każe nam oczekiwać dramatycznej sceny pilnowania krat i ucieczki bohatera. Istotnie, Antek odzyskuje wolność, ale nie korzysta z dobrodziejstwa konwencji literackiej — korzysta z przypadku.

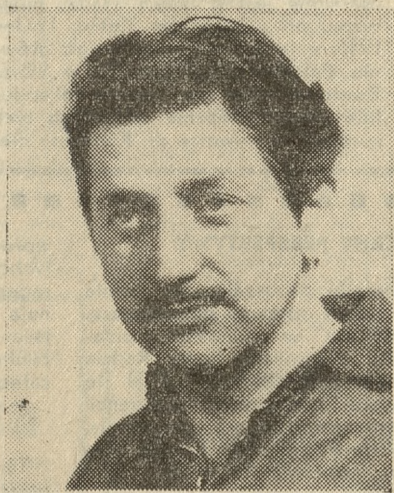
Schemat prozy przygodowej został skutecznie zniszczony w planie fabularnym. Tym wyrażonej zastrzeżeniem w rysunku postaci. Na kartach „Wroniego uroczyska” pisze się bowiem o ludziach albo zdecydowanie złych, albo bezwzględnie pozytywnych. Trudno mieć o pretensje do autora. Autor ma prawo podzielić ludzi ostatniej wojny na tych, którzy walczyli w imię słusznej idei, i na tych, których racje były z gruntu fałszywe.

Nie mniej słabą stroną powieści Bystrzyckiego jest to, że bohater natchniony potrafi rozpoznać przyjaciela i wroga. Ilekroć spotyka kogoś „o sympatycznej twarzy” (s. 16) — ufa mu i nie doznaje rozczarowań. Ilekroć staje na jego drodze

*) Przemysław Bystrzycki: „Wronie uroczysko”, Wydawnictwo MON, 1964 — str. 193.

Dokończenie na str. 2

Poznańscy pisarze



Jeśli w ogóle można mówić o „pisarzu z wykształcenia” to jest takim właśnie Ryszard Danecki, mimo że profesjonalnie para się dziennikarstwem w „Expressie Poznańskim”. Ukończył bowiem studia w Instytucie Literackim im. Gorkiego w Moskwie. Przekroczył dopiero niedawno trzydziesty rok życia, ale ma już spory dorobek pisarski. Zbiór wierszy: „Witryna” (1957), „Czarne szesnastki” (1958), „Twarze odwracane” (1961), „Afrasiabe” (1964), nie licząc utworów poetyckich rozsypanych po czasopiśmie bądź zamieszczonych w zbiorach np. w dwóch tomikach grupy „Wierzbak”, której był Danecki bardzo aktywnym członkiem. Debiutował w „Głosie Wielkopolskim” poematem „Wyzwolenie Poznania”, potem drukował w naszym piśmie kilka dal-

RYSZARD DANECKI

szych poematów o Poznaniu, jego dziełem jest też kantata o Poznaniu „Gołębie pióro” z muzyką W. Ki sera, której prawykonanie odbyło się w ubiegłym roku, obecnie Witold Krzemiński pisze muzykę do kolejnej jego kantaty zamówionej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki z okazji 80-lecia Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego im. Wieniawskiego. Danecki próbował też wielu innych form poetyckich (np. libretta, oper kameralnych), zdobywał liczne nagrody, także międzynarodowe. Wiersze tłumaczono na 13 języków obcych.

— W Twoim dorobku często trafia się temat poznański. Czym można to wytłumaczyć?

— Może tym, że jestem rdzennym poznańcem, co w naszym oddziale Związku Literatów jest unikalne. Poza tym związkiem formalnym — metryką — moje związki z Poznaniem widać, oczywiście, w całej twórczości, w każdym z tomów poezji są poznańskie akcenty. Ale dopiero powieść „Kropka oceanu” jest całkowicie poświęcona Poznaniowi i poznaniakom.

— To była niespodzianka nawet dla Twoich przyjaciół, jeszcze większa zapewne dla Twoich czytelników. Wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie, na który napłynęło dużo ponad sto powieści, to nie było co. Dlaczego wzięłeś się do prozy? O czym traktuje ta powieść?

— Przysłowie wschodnie powiada: Do lat 20 każdy jest poetą, od 20 do 30 tylko poeta jest poetą, powyżej trzydziestki tylko ludzie obłąkani są poetami. Ponieważ przekroczyłem tę granicę pora była wziąć się za prozę. Czas akcji mojej 300-stronicowej powieści zatytułowanej „Kropka oceanu” to dwa tygodnie

roku 1962. Akcja dzieje się w Wielkopolsce i Poznaniu, pokazuje typowe losy pokolenia trzydziestolatków. We wspomnieniach sięgają oni do lat okupacji w Poznańskim, który to temat jest dotąd w naszej literaturze dziewiczy. Książka jest przede wszystkim galerią typów, losów jednostkowych, przez które można — jak miemam — poznać całą zbiorowość, społeczeństwo Wielkopolski.

— A więc można podejmować w literaturze poznańskie tematy. Dlaczego jednak pojawiają się tak nieznajmniej rzadko, mimo iż poznańskie środowisko literackie jest przecież spore i dynamiczne?

— Uważam, że tematem nasiąka się od młodości, najbardziej od piętnastego roku życia. Tymczasem prawie wszyscy poznańscy pisarze są przyjezdni, młodość nie tutaj dawała im pierwsze widzenie, pierwsze odkrycie świata. Pokolenie rdzennych poznańskich pisarzy dopiero dorasta, zaczyna wydawać swoje utwory. To widać na przykład w „Morwie” — almanachu młodych poetów, gdzie mnóstwo krajobrazu, który mógł przedstawić tylko Wielkopole.

— Niektórzy mówią, że takie pisanie to zaściankowść.

— Ale wtedy zaściankowiem należałoby nazwać Faulknera, który pisał w zasadzie tylko o zapadłej prowincji na południu USA czy Szolochowa z jego kozacką znad Donu.

— Czy Twoja powieść oznacza zerwanie z poezją?

— Skądże, choć ukończyłem właśnie tom współczesnych opowiadań „112 godzin szczęścia” o ostro zarysowanych konfliktach, w których

dominuje również temat wielkopolski. Problem ludzkiego szczęścia jest przewodnim motywem tych opowiadań. Ale są i nowe wiersze. Kończąc tom „Na opalenie skrzydeł”, i będę pisał na pewno dalsze. Ale chyba najbardziej mnie w tej chwili pasjonuje naszkicowana już z grubszą powieścią o złotych latach kultury poznańskiej, 1955—1960. Takie 5-lecie trafia się raz na 100 lat. Roilo się wtedy w Poznaniu od grup literackich, plastycznych, był dobry kabaret. Były to nie mniej cygańskie i twórcze lata niż Zielonego Balonika w Krakowie. To wymaga utrwalenia. Mam w pamięci te wszystkie żarliwe dyskusje owych lat, kawiarnie literackie, kluby dyskusyjne, ogólnopolskie festiwale poezji zwane Listopadami Poetyckimi itd. itp.

— Znamy więc już Twoje plany pisarskie. Ale jesteś jeszcze sekretarzem Zarządu Oddziału ZLP, opiekujesz się Klubem Literackim początkujących twórców. Jakie doświadczenia z tego zakresu?

— Nasz Zarząd zawarł interesującą umowę z dyrekcją Zjednoczenia PGR. Na jej podstawie na korzystnych warunkach otrzymujemy pokoje gościnne z wyżywieniem w pięknie położonych gospodarstwach PGR. W pięknym krajobrazie, ciśnie znajdujemy prawdziwie twórczy nastrój — przekonałem się o tym osobiście, przebywając ostatnio w Drzewarkowie pow. Leszno. W Klubie Literackim po zweryfikowaniu około 200 kandydatów zostało około 30, bardzo obiecujących, także spoza Poznania. To co tworzą pozwala przewidywać dobre prognozy co do przyszłości poznańskiej literatury i — to niemniej ważne — poznańskiego tematu w tej literaturze.

Rozmawiał:

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Z tysiąca i jednej nocy

„REKOPIS ZNALEZIONY W SARA-GOSSIE”. Film produkcji polskiej. Scenariusz (na podstawie powieści Jana Potockiego pod tym samym tytułem): Tadeusz Kwiatkowski. Reżyseria: Wojciech Has. Zdjęcia: Mieczysław Jahoda. Muzyka: Krzysztof Penderecki. Wykonawcy: Zbigniew Cybulski (Alfons van Worden, kapitan gwardii walońskiej), Iga Cembrzyńska i Joanna Jędrka (księżniczki maurytańskie), Kazimierz Opaliński (pustelnik), Franciszek Pieczka (opentany Paszek), Ludwik Benoit (ojciec Paszek), Barbara Krafftówna (macocha Paszek), Pola Raksa (jej siostra), Adam Pawlikowski (kabalista), Beata Tyszkiewicz (jego siostra), Gustaw Holoubek (matematyk), Leon Niemczyk (herszt Cyganów), Feliks Chmurkowski (kupiec z Kadyksu), Bogumił Kobiela (kawaler maltański), Elżbieta Czyżewska (Frasquetta), Janusz Kłosiński (jej mąż) i inni...

jawnia się kawalerz — notoryczny opowiadacz dowcipów. Zwykle takiego kawalarza przyjmują się z otwartymi ramionami, pierwsze „kawale” witane są rękami śmiechu. Alisi po pewnym czasie nad efektami humorystycznymi zaczyna brać górę zdziwienie na temat „jak on jeszcze długo potrafi”. Po godzinie facet przestaje nas bawić, po drugiej z twarzy gości znika nawet grzecznościowy sztuczny uśmiešek, wreszcie wyjście faceta witane jest z głęboką ulgą. Mimo że ostatnie anegdoty nie były wcale gorsze niż pierwsze.

Założenie supergiganta Hasa jest identyczne. Jakiś facet opowiada o drugim faciecie, drugi o trzecim, trzeci o czwartym itd. itp. Gubimy się w końcu w tym galimatiasie, przestajemy rozumieć, kto z kim i dlaczego. Kiedy pokazują nam postaci z początku filmu, mające rzekomo wiązać całość, patrzymy na nie zdziwieni, bo dawno zdaliśmy o nich zapomnieć. Szybkie tempo akcji, nieustanna zmienność sytuacji i ich bohaterów przemierzanie sensacji z makabrą, erotyki z niesamowitością wzmacniają atrakcyjność filmu, ale chyba nie pozwolą widzowi zastanowić się nad tym, co chcieli osiągnąć twórcy, nad ważkimi treściami starcia posłów takiego np. mistyka i magika Kabilisty z humanistycznym racjonalistą Matematykiem. Widza ponosi warstwa rozrywkowo-przygodowa filmu. Czy to źle? Chyba nie, w końcu nie mamy za wiele filmów służących tylko rozrywce i ta bajka z tysiąca i jednej nocy bardzo się przyda. Miłośników sensacyjnych opowieści mamy sporo.

Trochę jednak pewne efekty przesolono (natrętnie powtarzający się motyw wisielców i trupich czaszek) i — na nasz gust — trochę tych opowieści za dużo. Bodaże wystarczyłoby dla zekranizowania dzieła imię Potockiego normalny film jednoseryjny. Bo czy to nie wszystko jedno czy usłyszymy jeden „kawale” więcej czy jeden mniej?

Z WYSTAWY
K. PRZYCHODZKIEGO

Od kilku dni, w salonie Poznańskiego Towarzystwa Fotograficznego w Poznaniu przy ul. Paderewskiego 7, trwa III indywidualna wystawa fotoreportera „Głos Wielkopolskiego” Kazimierza Przychodzkiego. Stanowi ona pokaz reporterskiego a zarazem artystycznego dorobku autora w okresie jego 15 lat pracy w redakcji. Wystawę urządzono z okazji przypadającego 16 bm. jubileuszu 20-lecia istnienia „Głosu”. Na zdjęciach: zwalówka w zagłębiu węgla brunatnego z cyklu fotografów „Konin”.

Eugeniusz Paukšta

Bestsellery

Zupełnie rewelacyjna pozycja wśród pozycji wydanych przez „Czytelnika”, jest olbrzymi, ponad tysiącstronicowy tom „Pamiętników lekarzy”, wybór najlepszych prac z ogłoszonego przed kilku laty konkursu. Jest to jak gdyby przekrój problematyki społeczno - lekarskiej przez z górą pół wieku, od okresu sprzed pierwszej wojny po dziś, przekrój, pisany tak przez ludzi młodych jak i znajdujących się już u schyłku życia. Można nawet sprawę poszerzyć, że jest to widzenie losu polskiego ostatecznie półwiecza, zawód lekarza sprawia bowiem, iż patrzy on szeroko i widzi zjawiska w całej ich różnorodności, dalekie często od bezpośredniego najbliższego obchodzących zagadnień leczniczych.

Z kolei trzy nowe pozycje z rozchwytywanej serii „Nike”. Otrzymujemy tutaj przyswojenie (przez Krystynę Tarnowską) nieznanego dotąd w Polsce powieści Erskine Caldwell „Jenny”. Utwór to o charakterze obyczajowo-psychologicznym, ze sporym ładunkiem humorystycznego widzenia życia. Jak zawsze Południe i jak zawsze problem integracji rasowej, tak charakterystyczny dla całej niemal twórczości Caldwell.

„Zaścianek” Williama Faulknera to pierwszy człon trylogii, jak generalna większość utworów tego pisarza, związany z Południem, z pozornie fikcyjnym hrabiostwem Yoknapatawpha, pod którą to nazwą odczytać można rodzinne strony pisarza. Tym razem bohaterami utworu, jak zawsze pasjonującego umiędzielnictwa kapitalnego podglądania życia, jest uboga rodzina Snopesów, białych, za wszelką cenę dążących do dorobienia się. Nie sposób w tych krótkich informacjach usiłować pomieścić pełniejsze omówienie tekstu doskonałego pisarza, człowieka, całym zyciem swoim i całą twórczością walczącego o godność ludzką, o zwycięstwo humanitaryzmu, pisarza przy tym władającego piórem w tak wyśmienity sposób. Można tylko gorąco zalecić tę świetną lekturę.

Trzecia książka z serii „Nike” jest ostatnią powieścią Arnolda Zweiga „Marzenia są drogie”. Zwięź z uporem powraca w każdym utworze do drążących go problemów, wiążących się z problematyką niemiecką, rola Niemiec w ostatnim półwieczu, zagadnieniem wojny i pokoju, wreszcie studium hitlerizmu i szczególnie istotna na tym tle kwestia żydowska. „Marzenia są drogie”, których akcja osadzona jest w latach władzy hitlerizmu, od sukcesu po klęskę, 1933—1945, a terenem wydarzeń jest głównie Palestyna, są książką, w której Zweig niejako raz jeszcze rekapitułuje swoje widzenie wszystkich tych spraw, a w sylwestrze dr. Karlhauza nie-

trudno odnaleźć alter ego samego autora.

Inną w rodzaju atrakcyjną pozycją Czytelnikowska jest niewątpliwie kapitalny tom wspomnień Władysława Grzelaka „Cyganeria z „Udziałowej”, 1908—1913”. Najstarsze pokolenie, jak Polska długa i szeroka, pamięta, co to „Udziałowa”, słynna kawiarnia warszawska, miejsce spotkań ludzi sztuki i pióra, nieoficjalna giełda wszelkich wiadomości. Autor wspomnień pełnił tam funkcję „chłopca od prasy” i z tego punktu widzenia obserwował ówczesne środowisko artystyczno-literackie Warszawy, obserwował w sposób świeży, choć niekiedy naiwny. Doskonała pamięć zezwoliła, iż dawne wrażenia odżyły na kartach, zachowując dla potomnych fragment dawnej Warszawy, widziany z okien „Udziałowej”.

Entuzjaści pisarstwa Wojciecha Żukrowskiego, a tych jest legion, z radością powitają wiadomość o ukazaniu się nowego tomu opowiadań tego autora „Nieśmiały narzeczon”. Powoli owocuje plon wieloletnich wólczeń Żukrowskiego po Azji. W opowiadaniach, o których mowa, autor odnotowuje zasłyszane legendy, dziwaczne historie, przekazuje je wzbogacane o własny zawieszony język, o własną wyobraźnię, bujną jak dzikie wino pnące się po wysokiej ścianie.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Wojna
na inną
modłę

Dokończenie ze str. 1

„wyjątkowy drań i oprawca”, (s. 24) — Antek nie ma żadnych wątpliwości, że to jest wyjątkowy drań. Tak nie mogło być w tym wielonarodowościowym i wielowyznaniowym środowisku, które przedstawia Bystrzycki. Postaci jego powieści są zbyt prędko rozszyfrowywane. Mieć, wuj, pop, Hiruby, sam Antek — nie stanowią dla nas ani zagadki, ani nie sprawiają niespodzianek. Jedyną postacią, która zastanawia, jest Spirydion, dzwonnik z cerkwi, człowiek bezwzględnie prawy, ale pełen utajonych sprzeczności, o swoistym stosunku do wojny, do ludzi, nawet do słów.

Rezygnując z wewnętrznego bogactwa postaci, Bystrzycki szuka rekompensaty w bogactwie spraw które otaczają jego bohaterów. „Wronie uroczysko” przypomina miejscami indeks tematów związanych z wojną i okupacją. Katowinie SS, system więzień, dywersja, bandy UPA, współpraca partyzantów z Armią Czerwoną, kwestia żydowska, polskie wojsko nad Oką, Kowpakowcy — to tylko niektóre tematy, pojawiające się na kartach „Wroniego uroczyska”. Ich wielość nadaje powieści panoramiczność, przestrzeń historyczną. Niestety, w zbyt żarliwym dążeniu autora do odnotowania tylu faktów kryje się niebezpieczeństwo zdawkowości.

EDWARD BALCERZAN

TV W LICZBACH

Według danych UNESCO za 1964 rok, największą potęgą telewizyjną świata są Stany Zjednoczone — 62 mln teleabonentów, na drugim miejscu znajduje się Japonia z 14 mln telewizorów, następnie w kolejności: W. Brytania, ZSRR, NRF, Kanada, Francja, Włochy. Z 7 krajów objętych ślecią „Interwizji” największą liczbę teleabonentów ma Związek Radziecki — 12 mln; następnie NRD — ponad 2,5 mln, CSRS — przeszło 1,7 mln, Polska — ok. 1,6 mln, Węgry — 500 tys., Rumunia — ponad 110 tys. i Bułgaria — 100 tys. W kwietniu br. na międzynarodowej konferencji specjalistów w Wiedniu ustalony zostanie ostatecznie jednolity system kolorowej TV dla Europy. (Kt-PAP)



„Życie Gospodarcze” w cyklu „Centralne problemy w zwierciadle regionu” przedstawia Wielkopolskę. Czołową pozycją jest wywiad z sekretarzem KW PZPR — Janem Szydłakiem, za tytułowany

WIELKOPOLSKIE REZERWY

Nawiązując do opinii, że specyfika regionu poznańskiego jest stosunkowo wysoki poziom rolnictwa, rozmówca przedstawia na tym tle rezerwy istniejące jeszcze w wielkopolskiej gospodarce rolnej. J. Szydłak wymienia spośród nich: różnice w wydajności z hektara pomiędzy powiatami, leżącymi często obok siebie i mającymi takie same warunki glebowe, a nawet takie samo zużycie nawozów na hektar; możliwości wzrostu produkcji żyta (zajmuje w województwie areal 5-krotnie większy niż pszenica); wzrost zużycia nawozów, co przy dużym doświadczeniu wielkopolskich rolników do ich stosowania, może przynieść znaczne korzyści; dokonanie zasadniczej poprawy w gospodarce paszowej.

Przypominając, że Poznań jest dzisiaj czwartym pod względem wielkości ośrodkiem przemysłowym kraju, a przemysł Wielkopolski zajmuje w tym zakresie piąte miejsce, J. Szydłak przedstawia kierunki wykrywania i uruchamiania rezerw bezinwestycyjnego wzrostu produkcji przemysłowej:

ujawnianie rezerw w odlewniach, ujawnianie rezerw w organizacji pracy i technologii produkcji. Rozmówca uzasadnia też potrzebę modernizacji przemysłu spożywczego oraz aktywizacji naszego rejonu przez produkcyjne zagospodarowanie miejscowych surowców.

Po omówieniu problemów zatrudnienia, J. Szydłak m. in. mówi o potrzebie dalszego rozwoju usług:

„Właśnie dlatego, że w Poznaniu zawsze przywiązywano dużą wagę do usług i że mamy stosunkowo nie najgorzej rozwiniętą ich sieć, potrzeby ich dalszego rozwoju są tu bodaj większe, niż gdzie indziej. Nie tylko z tego powodu, że poprzedni i dotychczasowy stopień rozwoju usług przyzwyczajał ludzi do większego z nich korzystania i tym samym ludzie u nas bardziej odczuwają niedorobstwo usług. Stosunkowo wyższe zapotrzebowanie na dalszy ich rozwój wynika również z przyczyn jak najbardziej obiektywnych.”

Odpowiadając na pytanie, czy kompetencje organów terenowych, jeśli chodzi o uruchomienie rezerw, są wystarczające — J. Szydłak stwierdza m. in.:

„Staramy się, aby w całym kierowanym przez partię ruchu wyszukiwania i uruchamiania rezerw, nieczego nie narzucać, do niczego na siłę nie „naganiać”, ale raczej inspirować i najwyżej koordynować. Myślę, że pełniejsze docenianie inicjatywy i ambicji zawodowych każdego pracownika, może wiele przyczynić się do wyników tej tak potrzebnej w naszej gospodarce działalności.”

Sprawy poruszone w wywiadzie uzupełnia Tadeusz Zalski w artykule pt. „Kierunki gospodarowania”. Ponadto „Życie Gospodarcze” przynosi informacje o Poznaniu pt. „Przemysł w liczbach” i „Przodujące rolnictwo kraju”.

EKONOMICZNE PERSPEKTYWY

to tytuł innego wywiadu poruszającego równie istotne dla całego kraju sprawy gospodarcze. „Tygodnik Demokratyczny” w rozmowie z przewodniczącym Komisji Planowania przy Radzie Ministrów dr Stefanem Jędrzychowskim zajął się modernizacją przemysłu i problemami inteligencji technicznej, systemem zarządzania i planowania, rozwojem usług i aktywizacją małych miast. Mówiąc o tym ostatnim, rozmówca stwierdza:

„Przewidywana na okres najbliższego planu pięcioletniego dekoncentracja przemysłu w wielkich ośrodkach miejsko-przemysłowych nie może być uznana za podstawowy czynnik aktywizacji małych miast w skali kraju, jakkolwiek będzie ona niewątpliwie w przypadku małych miast czynnikiem dość poważnym. W zasadzie jednak główny kierunek aktywizacji małych miast powinien być ściśle dostosowany do struktury i potrzeb ich zaplecza gospodarczego.”

KOPCIUSZEK GASTRONOMII

tak nazywa „Polityka” (art. Barbary W. Olszewskiej) stołówki. Korzysta z nich u nas 4 procent zatrudnionych, a w NRD 25 procent pracujących, w Czechosłowacji — 45 procent. Od 1954 r. liczba stołówek maleje. Podobno w 1954 r. było ich ponad 4 500, a w 1962 r. około 1 400. Autorka pisze „podobno”, bo ani Ministerstwo Handlu Wewnętrznego ani CRZZ nie mają w tej sprawie dokładnego rozeznania... Przedstawiając zawiłe problemy stołówek autorka postuluje konieczne zmiany, wśród których wymienia m. in.: uporządkowanie systemu finansowania stołówek (dlaczego jedne otrzymują dotacje, a inne nie?); ściślejsze powiązanie z zakładami, przy których istnieją;